Opłatę pocztową uiszczono ryczałtem.

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC

ROK IX WARSZAWA, KWIECIEŃ 1934 R. Nr. 4

Redaktor Odpowiedzialny: Ks. St. SKIERSKI
Adres Redakcji:
Warszawa, ul Leszno Nr. 20 m. 4. Tel. 11.38-32.

Wydawca:
KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ PARAFJI EWANGELICKO-REFORMOWANEJ
Adres Administracji—Leszno 20. Tel. 11.46-32.

WARUNKI PRENUMERATY: Rocznie zł. 12; półrocznie zł. 6; kwartalnie zł. 3, Pojedyńczy numer zł. 1.50

CENY OGŁOSZEŃ: Okładki strony 4-ej 150 zł; strony 2-ej 100 zł; strony 3-ej 75 zł.

Konto czekowe Pocztowej Kasy Oszczędności Nr 12.423

TREŚĆ NUMERU

1. *Ks. E. J.* — Trzy góry 49
2. *Ks. Emil Jelinek.* — Sylwetka Kalwina na tle Reformacji (c. d.) 51
3. *Ks. L. Zaunar.* — Jam jest prawda 53
4. *T. Gruda.* — „600 pastorów niemieckich i t. d. 55
5. *Ks. Emil Jelinek.* — Jeszcze o Baptystach . . . 57
6. *Paweł Hulka-Laskowski.* — Wraca pokój 60
7. *Wojciech Wrzos.* — Paweł Hulka-Laskowski i jego Żyrardów . 62
8. Wiadomości z Kościoła i o Kościele 64
9. Ofiary. Porządek nabożeństw . . . . . na okładce

ROK IX WARSZAWA, KWIECIEŃ Nr. 4

Redaktor odpowiedzialny: **Ks St. Skierski.** Adres Redakcji: WARSZAWA, UL. LESZNO Nr. 20 m. 4

Wydawca: KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ PARAFJI EWANGELICKO-REFORMOWANEJ
Adres Administracji: LESZNO 20.

*TRZY GÓRY.**)

W całej pasji życia Zbawicielowego na ziemi są trzy stacje, trzy punkty szczytowe, które szczególnie silnie chwytają człowieka za serce. Tym trzem szczytowym punktom życia Jezusowego odpowiadają trzy geograficzne miejscowości Ziemi Św.: góra Tabor, góra Oliwna i góra Kalwarja.

Tabor to miejsce przemienienia Pańskiego i uwielbienia Syna Człowieczego. U północnych granic Galilei pod miastem Caesarea Filipi ubogi cieśla z Nazaretu po raz pierwszy postawił swym uczniom pytanie: za kogo lud mnie ma, za kogo wy mnie uważacie? Z ust Szymona, zwanego z grecka Kefas (po łacinie petra—skała, a więc męża wiary jak granit skalny twardej i nieugiętej), słyszy Chrystus bohaterskie wyznanie: Tyś jest Jezus Chrystus, Syn Boga żywego, a więc Tyś jest ten zapowiadany od dawien dawna przez starych proroków ewed Jahwe (sługa Pański), maszijach izrael (mesjasz izraelski), król żydowski. — W kilka dni później zabiera Chrystus najwierniejszych swych uczniów Jakóba, Piotra i Jana na górę Tabor. W podniosłej górskiej ciszy wyjaśnia im swój stosunek jako Mesjasza do proroków, do Mojżesza i Eljasza, najznakomitszych mężów Bożych w starym Izraelu. Ilustracją tego wykładu jest wizja uczniów Pańskich: Jezus rozmawia z Mojżeszem i Eljaszem, a oblicze jego jaśnieje glorją i chwałą. Uczniowie przejęci uczuciem niebiańskiego szczęścia padają na twarz i wołają: Panie, dobrze nam jest tutaj, pozwól zbudować tu trzy namioty, jeden dla Ciebie, drugi dla Mojżesza, trzeci dla Eljasza.

Góra Oliwna to miejsce walki Syna Człowieczego. Osiem miesięcy po Przemienieniu trzej uczniowie Pańscy Jan, Piotr i Jakób są świadkami najwyższej słabości Syna Człowieczego. Po ostatniej wieczerzy, którą już przedtem jeden z dwunastu potajemnie opuścił, aby za trzydzieści srebrników zdradzić kapłanom miejsce pobytu Mistrza, idzie Zbawiciel z uczniami na górę Oliwną. W samotności ogrodu Getsemane stacza ciężki bój. Czoło jego rosi pot męki; błagalny jego głos rozdziera serce: Ojcze, jeśli to być może, niechaj mnie minie ten kielich....

*) *Podług Ferd. Stibora, biskupa czeskiego Kościoła Narodowego.*

Kalwarja to miejsce poniżenia Syna Człowieczego. Na Taborze oblicze Zbawicielowe jaśniało jak słońce, a szaty jego jako śnieg były białe. Na Kalwarji Syn Człowieczy wzgardzony, oplwany, wyśmiany, obnażony wisi na krzyżu hańby i poniżenia. Zamiast królewskiej korony wieniec cierniowy oplata mu skronie. Umęczona głowa zwisa na piersi. W przedśmiertnem napięciu sił ostatka woła: Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?

Oto trzy góry w Palestynie i trzy szczytowe punkty życia Jezusowego, powtarzające się po dzień dzisiejszy nieledwie z wierną dokładnością w życiu ludzi śmiertelnych. Przynajmniej raz w życiu człowiek wspiera się na górę Tabor. Upojony szczęściem za uczniami Chrystusowemi powtarza: dobrze mi jest na tym Taborze życia. Aliści niebawem zgnębiony troskami, których życie nikomu z śmiertelnych nie skąpi, rozpaczliwie wyciąga ręce na górze Oliwnej swego życia i jak Chrystus woła: Ojcze, jeśli to być może niechaj mnie minie ten kielich goryczy. Ale napróżno woła. Musisz, człowiecze, swój własny kielich wychylić aż do dna. Musi na cię spaść Kalwarja i wycisnąć z duszy jęk: Boże mój, Boże mój....

Przed wiekami złość ludzka wiodła Chrystusa na krwawą Kalwarję. To samo powtarza się dzisiaj. Ludzie mogliby żyć jak aniołowie szczęśliwie, gdyby ich własne zło nie strąciło jak niegdyś szatana z nieba. Nasze własne, ludzkie namiętności i żądze, błędy i grzechy są powodem ludzkich cierpień i łez i to zarówno w życiu ludzi poszczególnych, jak też i całych narodów. Nasz naród jest tego najlepszym przykładem.

Okres Jagiellonów, złoty wiek szesnasty, wiek Rejów, Łaskich, Modrzewskich i Kochanowskich to Tabor naszego narodu. Potęgą mocny, dostatkami syty, mądrością roztropny, wolnością wesoły radośnie krzyczy; dobrze jest nam na tej pięknej polskiej ziemi. Ale niebawem obraz się zaciemnia. Nastaje okres Wazów i Sasów. Polska nierządem stoi. Konarscy i Kołłątaje modlą się jak ongiś Chrystus w Ogrójcu: Ojcze, jeśli to być może, niechaj nas minie ten kielich goryczy. Ale nie minął. Przyszła polska Kalwarja, przyszły rozbiory. Rejtanowie, Kościuszkowie, Poniatowscy i Trauguci jęczą: Boże nasz, Boże, czemuś nas opuścił.

Kielich został wypity aż do dna. Po długich latach spowitych „dymem pożarów i kurzem krwi bratniej", przed Boskie ołtarze zanoszone błagania cud sprawiły — Polska zmartwychwstała. Wstąpiła na górę Tabor, kędy słońce politycznej i narodowej swobody znowu ją opromienia.

Ale któż sprawił tę Kalwarję naszego narodu? Zali Polska miała odegrać tylko rolę Mesjasza narodów — jak chcieli niepoprawni marzyciele mesjaniści? Zali zgubili ją „heretycy", owi Reje, Łascy i Tarnowscy, owi zacni i szlachetni Bracia polscy — jak mówią dziś jeszcze niektórzy? Zgubili ją ci, co chcieli czystą Ewangelję Chrystusową wyznawać? Czyż nie zgubiły jej raczej nasze własne błędy narodowe, ów brak karności, przy której szlachcic na zagrodzie równy był wojewodzie, ów brak tolerancji, która dała wprawdzie jednym wymownie propagowaną przez Skargę Pawęskiego Unję brzeską, ale narodowi — wojny religijne, najazdy kozackie, wewnętrzny zamęt i słabość, którą wróg zewnętrzny umiał wykorzystać? Czyż nie zgubiła Ojczyzny naszej owa krótkowzroczność, która kazała za króla Sasa jeść, pić i popuszczać pasa? Czyjaż to była wina? Ileż w tem wszystkiem było ducha Chrystusowego? O, zaprawdę, gdyby duch Chrystusowy był w kraju, nie oglądałby naród swego upadku, a tak własna jego namiętność, własna żądza i chuci przyziemne znikczemniły jego duszę i wiodły ją z Taboru poprzez górę Oliwną na smutną Kalwarję.

Dziś chcielibyśmy na zawsze pozostać na Taborze życia politycznego i religijnego, społecznego i rodzinnego, publicznego i prywatnego, lecz bez ducha Chrystusowego nie można się na nim długo ostać. Jeśli Ewangelja Chrystusowa i zasady Chrystusowe miłości Boga i bliźniego nie przenikną naszego życia, na nic się zdadzą wszystkie wysiłki, aby się na tym Taborze utrzymać.

Ks. E. J.

Ks. EMIL JELINEK.

SYLWETKA KALWINA NA TLE REFORMACJI.

(c. d;)

Przed trzema laty uciekał Kalwin z Genewy jako banita, teraz wracał do niej jako zwycięzca i triumfator. Mógłby teraz bez przeszkód wykorzystać sytuację i pomścić dawne zniewagi. Ale Kalwin nigdy nie zniżył się do płytkiej zemsty. Ani słowem, ani nawet najlżejszem ściągnięciem brwi nie dał odczuć wrogom jakiejkolwiek niechęci. A przy krewkim jego temperamencie była to rzecz nielada. Sam dziwił się sobie: „To wprost nie do wiary, a jednak to prawda; Bóg trzyma mnie przy zdrowych zmysłach". Niemniej jednak Kalwin powrócił do dawnych metod porządkowania życia Genewy. Czekała go przedewszystkiem ciężka praca uregulowania wzajemnego stosunku Kościoła i Państwa (kantonu).

W średniowieczu Kościół stał na stanowisku suwerennego pana i władcy świata. Biada narodowi, któryby odważył się mu w czemkolwiek sprzeciwić. Historja papiestwa to nic innego jeno walka o prymat nad światem. Począwszy od fałszerstw Izydorjańskich, a skończywszy na interdyktach, bullach i klątwach wszystko służyło jednemu celowi: wzmocnieniu świeckiej władzy biskupa rzymskiego, uzurpującego sobie od V wieku tytuł papieża. Nie co innego miała na celu walka Grzegorza VII (1073—1085) z cesarzem Henrykiem IV, Innocentego III (1198—1216) z Filipem Augustem francuskim i z Janem Bez Ziemi angielskim. Sancho portugalski, Piotr II aragoński, Magnus V norweski, Filip szwabski, Otton brunświcki, Fryderyk II i jak jeszcze tym wszystkim koronowanym głowom było na imię, nie wyłączając nawet naszego polskiego Bolesława Krzywoustego, musieli ukorzyć się przed świecką potęgą rzymskiego biskupa, opłacając się przytem wielkiemi „świętopietrzami" (grosz św. Piotra). Nie o co innego chodziło również w walce Bonifacego VIII (1294—1303) z królem francuskim Filipem Pięknym. Znana jest bulla Bonifacego VIII Unam sanctam (18.XI 1302) o podporządkowaniu każdej ludzkiej istoty nieograniczonej imperjalistycznej mocy papieskiej [1]).

Skrajnie przeciwne stanowisko zajęli Luter i Zwingli. Rządy kościelne oddali w zupełną zależność od władzy świecko-książęcej, podporządkowując w ten sposób Kościół Państwu. Dopiero Kalwin stanął na stanowisku równorzędności w życiu społecznem obu tych czynników. Kościół ma do czynienia z wewnętrznem życiem człowieka, Państwo — z jego życiem zewnętrznem. Najwyższą głową Kościoła nie jest papież, uosobienie świeckiej władzy, lecz duchowy Chrystus. Widzialny, empiryczny Kościół walczący na ziemi (ecclesia militans) nie jest jeszcze Kościołem triumfującym w niebie (ecclesia triumfans), a przeto jako organizacja ziemska rozpada się na poszczególne zbory, których władzą najwyższą jest ogół wszystkich członków Kościoła.

W tym demokratycznym duchu, będącym bodaj czy nie pierwowzorem obecnego polityczno-republikańskiego ustroju, wydaje Kalwin dnia 2 stycznia 1542 r. t. zw. ordonnances ecclesiastiques. Według tych kościelnych przepisów wszyscy bez wyjątku duchowni i profesorowie teologji tworzą kolegjum doktorów (t. j. ludzi uczonych), zwane „czcigodną społecznością". Kolegjum to jest niejako naukowym aparatem Kościoła. Obraduje ono raz na tydzień, bada sprawę nauki, słucha wzorowego kazania, wygłaszanego przez jednego ze swych członków na zgóry określony tekst i t. p. (Dziś „czcigodną społeczność" zastępują do pewnego stopnia konferencje duchownych). Obok kolegjum doktorów istnieje konsystorz, w którym oprócz duchownych zasiada 12 członków świeckich, wybieranych nie przez ogół członków Kościoła, a przez Radę miasta; ich zadaniem jest czuwać wespół z duchownymi nad moralnem prowadzeniem się reszty zborowników [2]).

---

[1]) Obszernie o papiestwie traktują: F. Rosshirt: Zu den kirchenrechtlichen Quellen des ersten Jahrtausends und zu den pseudoisidor. Decretalen, Heidelberg, 1849; F. Schulte: Die Macht der röm. Päpste, Praga, 1871; P. Hoensbroech: Rom und das Zentrum, Lipsk, 1907. Por. także Smolik: Apoštol Petr a primát papežsky, Praha. 1932. — C. Mirbt: Quellen zur Geschichte des Papsttums und des römischen Katholizismus (4 wyd. 1924); H. Schrörs: Katholische Statsauffassung. Kirche und Staat, 1919.

[2]) W późniejszych czasach nastąpiła silna laicyzacja konsystorzy, nie zawsze wychodząca na dobre duchowym sprawom Kościoła. W Polsce małopolskie zbory kalwińskie organizowały się na wzór Braci Czeskich, których organizacja była nawskroś teokratyczna. Dopiero Łaski dopuszcza świeckich do udziału w rządach kościelnych. Po jego śmierci, szczególnie od synodu w Książu 1560 r. w myśl projektu Ossolińskiego i Myszkowskiego duchownych prawie że zupełnie odsunięto od rządów kościelnych, przeciwko czemu stale oni sarkali. Wprawdzie życie wykazało niebawem całą niedorzeczność pro-

Na publiczne nabożeństwo składa się ogólne wyznanie grzechów, śpiew psalmów, modlitwa, kazanie, dziękczynienie i błogosławieństwo. W kościele nie może być jakichkolwiek rzeźb i obrazów. Wieczerza św. ma być wysługiwana na początku każdego miesiąca [1]). Śluby odbywają się w niedzielę w czasie publicznego nabożeństwa przed kazaniem, a w dnie powszednie tylko w związkn z nabożeństwem nadzwyczajnem. Mężczyzna 60 letni nie może poślubić niewiasty niżej lat 30, niewiasta zaś ponad lat 40 nie może wyjść za mąż za mężczyznę nie posiadającego jeszcze lat 35. Chrzest odbywa się tylko w kościele, przyczem nie można nadawć dzieciom imion świeckich. Wskazane są tylko imiona biblijne, a szczególnie starotestamentowe. Wkrótce też na ulicach Genewy mali Ezałowie bili się z Jakóbami, Eli spadał z krzesła, Jeremjasz zawodził żałosne treny z okazji otrzymanego od mamusi klapsa, a mały Jozue czynił nieopisany harmider i zamieszanie w domu, dmąc w mosiężną trąbkę ile mu tylko sił w piersiach stało.

Zaledwie po miesięcznym pobycie Kalwina w Genewie Rada miasta prosi reformatora o opracowanie kodeksu świeckiego. Kalwin pracował nad nim pełne 2 lata. Kodeks Kalwina ograniczył w wielkim stopniu wpływy demokracji. Główna władza spoczęła w rękach 24 co znakomitszych obywateli (oligarchja), tworzących t. zw. małą radę. Oprócz niej istniała rada 60, rada 200 i rada generalna, jako konwent wszystkich obywateli miasta. Widać z tego, że Kalwin dążył z jednej strony do złagodzenia ustroju arystokratyczno-oligarchicznego, z drugiej — do zmniejszenia wpływów republikańsko - demokratycznych, dając w rezultacie coś pośredniego.

Kodeks regulował ogólne życie społeczno-polityczne republiki, a nawet najdrobniejsze szczegóły prywatnego życia jej obywateli. I tak przewidywał on np. szczegółowe instrukcje dla budowniczych, dowódcy artylerji, komendanta więzienia, nocnego stróża, nie wyłączając nawet przepisów ogniowych i policyjnych. W kodeksie był przewidziany materjał, kolor i krój szat niewieścich. Fryzowanie włosów zostało zakazane, liczba dań przy ucztach ściśle określona, teatr, tańce i karty surowo zabronione, wszystkie karczmy zamknięte. Za wszelkie uchybienie groziła surowa kara pieniężna lub więzienie a nawet śmierć. Za obrazę majestatu władzy, usiłowania przewrotowe i bluźnierstwo groziła najsurowsza kara: spalenie żywcem. Zgodnie z duchem czasu każdy bluźnierca i bezbożnik był niemiłosiernie tępiony. „Kacerze jadem swej bezbożnej nauki zabijają dusze swych współbliźnich — mawiał Kalwin. — Czyż prawowita władza ma oszczędzać ich ciała?" W krótkim czasie zapełniły się więzienia. W ciągu 4 lat wykonano 58 wyroków śmierci, a około 70 osób skazano na wygnanie.

Nie ulega wątpliwości, że kodeks był drakoński, ale był on może najlepszym środkiem wychowawczym dla Genewy. Niewiadomo jakby dziś Genewa wyglądała, gdyby w niej Kalwina nie było. W ciągu krótkiego czasu zmieniła radykalnie swe oblicze. Plaga osławionej rozpusty, pijaństwa i żebractwa ustała. Zamiast pijackich sprośnych piosenek rozlegał się pobożny śpiew psalmów. Cudzoziemcy nie mogli się temu dość nadziwić. Historyk Ancillon pisał: „Republika ta, co taką sławą się okryła, acz niewielka, zespoliwszy głęboką moralność z wysoką oświatą duchową, bogactwo z prostotą, prostotę ze smakiem, wolność z porządkiem, przewspaniale dowiodła, że Kalwin znał ludzi i umiał nimi kierować".

Autorytet Kalwina był wielki, a obawa przed nim była też niemała. Kiedy nabożnie drzemiącemu w kościele sąsiadka szepnęła do ucha jedno tylko słówko „Kalwin", ukołysany wymową kaznodziei słuchacz nietylko przecierał zaspane oczy, ale z przerażenia spadał z ławki. Nie znaczy to jednak, że reformy Kalwina Genewczycy przyjęli potulnie jak baranki. Zrazu było wszystko dobrze, ale niebawem stronnictwo Libertynów podniosło znowu głowę. Stronnictwo to tworzyło jakby dwie gałęzie: religijną i polityczną. Gałąź religijna tworzyła coś w rodzaju sekty o pokroju spirytualistyczno - panteistycznym. W myśl jej nauki wszystko na świecie jest przejawem Boga. Niemasz nieśmiertelnej duszy, niemasz zła ani dobra, grzechu ani świętości: wszystko jest cząstką Boga. Hedonistyczny epikureizm jest najgodniejszym człowieka światopoglądem; a więc trzeba używać wszystkiego, osiągnąć wolność najwyższą, zrzucić z siebie wszelkie krępujące więzy, uwolnić się nawet od pęt małżeńskich i ogłosić wspólność majątku i osób. Przejawiał się więc tutaj nietylko komunizm w najokropniejszej swej postaci, ale i najohydniejszy promiskuityzm pierwotnego człowieka. Oczywiście wszystko to było przyodziane w najpiękniejsze szaty frazeologji biblijnej. Agitacja tych Libertynów (t. j. ludzi wolnych), od których z

---

jektu Ossolińskiego i synod generalny w Pińczowie starał się wynagrodzić krzywdę wyrządzoną duchownym, niemniej jednak i on dopuszczał świeckich do uczestnictwa w rządach kościelnych w większym może stopniu, niżby sobie tego życzył Łaski, zdecydowany przeciwnik autokratycznych rządów duchowieństwa.

[1]) Rada miasta Genewy ograniczyła jednak wysługiwanie Wieczerzy Pańskiej tylko do 4 razy w roku. Zarządzenie to zdaje się być ze wszechmiar słuszne. Częste wysługiwanie Wieczerzy Św. spowszednia ją tak, iż zatraca ona misteryjny charakter, który niewątpliwie posiadała w pierwszem chrześcijaństwie, i prowadzi w częstej praktyce do zmniejszania się liczby komunikantów. Możnaby to nieledwie uogólnić i twierdzić, że liczba komunikantów pozostaje w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do częstości wysługiwania Komunji Św. W czasach Kalwina Komunja Św. była także swego rodzaju środkiem pedagogicznym—odmawiano jej zakamieniałemu grzesznikowi.

obrzydzeniem odwróciłby się starożytny Epikurejczyk. była tak silna i przebiegła, że zdołali oni zwerbować dla siebie nie orjentującą się w sytuacji zwolenniczkę Kalwina królowę Małgorzatę Nawarrską, siostrę króla Franciszka I. Dopiero list Kalwina otworzył jej oczy w jakie wpadła sidła.

Libertynizm polityczny, z gruntu areligijny i wolnomyślicielski, skupiał w swych szeregach przedniejsze rody genewskie i parł zarówno do politycznej jak też i osobistej wolności i swobody. Z libertynizmem religijnym łączyło go tylko dążenie do osobistej swobody i wspólna nienawiść Kalwina. Na czele kierunku politycznego stał kapitan Genewy t. j. dowódca sił zbrojnych kantonu znakomity Amadeusz Perrin.

Rok 1546 w stosunkach genewskich wcale nie był „dziwnym" rokiem, był to sobie rok taki jak i każdy inny. I na niebie genewskiem nic szczególnego się nie działo. Poprostu tylko na pewnem weselisku, w którem wzięli udział także Perrinowie, srodze tańczono. Perrinom wytoczono o to sprawę sądową. Favre, teść Amadeusza Perrina, wyprowadzony z równowagi przez sędziego śledczego, krzyknął: „Wolności, wolności, Kalwin męczy was więcej niż 4 biskupów; 1000 talarów temu, który zwoła zebranie ludu". Favre zasiadł za kratami. Córka, stając w konsystorzu w obronie uwięzionego ojca, woła pod adresem Kalwina: „Nędzny człowiecze, chcesz zniszczyć Favre'a, chcesz pić krew naszą? Wiedz, że opuścisz Genewę przed nami". Wróżba zacnej córki [1]) nie spełniła się jednak. Wraz z mężem wypędzono ją z miasta na czas nieokreślony, a Kalwin... znalazł nazajutrz na ambonie kartkę, w której anonimowy autor grozi mu śmiercią, jeśli nie zmieni swego postępowania. Autorem listu okazał się Jakób Gruet zdecydowany bezbożnik, w którego domu komisja śledcza znalazła bluźniercze traktaty i szczegółowe plany zamachu stanu [2]). Grueta ścięto.

Egzekucja dokonana na Gruecie rozsrożyła lud jeszcze więcej. „Kiedym pokazał się na ulicy—pisze Kalwin—szczuto na mnie psy". Nazwisko Kalwin przekręcano na Kain. W mieście wrzało jak w kotle. Trzymane dotąd w karbach stare nałogi rozpętały się na nowo. Nawet w Radzie nie było lepiej. Kiedy Kalwin w towarzystwie duchownych w uroczystym pochodzie przez miasto szedł do Rady domagać się ukrócenia swawoli ludu, panowie rajcy z gołymi mieczami wypadli na niego. Ale Kalwin zimnej krwi nie tracił. Gromkiem słowem uśmierzył gniew panów, sam pogodził się z Perrinem, i po 9 miesiącach w Genewie było znowu jak dawniej—cicho i przykładnie. Wprawdzie w skład Rady weszło teraz wielu wrogów Kalwina, a nawet Perrin został pierwszym syndykiem, mimo to autorytet kodeksu wprowadzonego przez Kalwina był po dawnemu wielki. Kiedy przywódca Libertynów Raoul Monnet pokrył egzemplarz Biblji nieprzystojnemi rycinami został według prawa ścięty, i ani jeden druh partyjny za nim się nie ujął. Natomiast spór o imiona chrzestne nie skończył się pomyślnie dla duchowieństwa, które przez zakaz nadawania niemowlętom pewnych świeckich imion starało się zwalczyć zakorzeniony wśród ludu zabobon, polegający na przypisywaniu imionom specjalnych mocy. I tak np. imię Baltazar miało być doskonałą ochroną przed wszelkiego rodzaju chorobami, Klaudjusz rokował długie życie i t. p. (d. c. n.)

[1]) Franciszka żona Ami Perrina (Peyrin), generalnego kapitana straży miejskiej, była córką długoletniego rajcy Genewy Franciszka Favre'a. Ojciec jej, gorący patrjota i uczestnik walk o niepodległość Genewy, trybem swego życia siał ogólne zgorszenie. W zuchwałości, nieokrzesaniu i zdrożności córka daleko przewyższała ojca. Waleczna niewiasta umiała stratować koniem duchownego i nadziać go na pikę, Kalwinowi zaś na posłuchaniu plunąć prosto w twarz.

[2]) Według planów Grueta „suwerenny lud" miał przemocą obalić władzę, w czem dopomóc mu miała partja sabaudzka. W traktatach swoich Gruet w najokropniejszy sposób lżył Pismo Św., Jezusa Chrystusa, oraz mężów St. i N. Testamentu.

Ks. L. ZAUNAR.

JAM JEST PRAWDA.

(Ew. Jana 14, 6).

Zbawiciel nasz mówiąc o sobie, jako drodze do wiecznego celu duszy ludzkiej, dodaje natychmiast: „Jam jest prawda", czyli naucza, że jest On nietylko kierunkiem życia ludzkiego, ale jednocześnie i jego celem. To właśnie twierdzenie Chrystusa najbardziej dziwi a często i oburza niejednego: zgodzą się ostatecznie uznać w Nim nauczyciela duchowego, inicjatora pojęć właściwej moralności, wreszcie proroka Boga Jedynego i wiecznego żywota, ale nic ponadto! Tak np. myśleli żydzi, gdy słuchając słów Jezusowych wołali; „On się czyni równym Bogu!" Tak myśli po dzień dzisiejszy niejeden chrześcijanin, widząc w Nim najwyż-

szego nauczyciela ludzkości i z całym szacunkiem uznając, że nikt z pośród ludzi nie był większym od Jezusa. A jednak gdyby tak było, to przecież byłoby rzeczą konieczną i logiczną, aby Jezus, pokazawszy drogę do Boga Jedynego, usunął się na bok i rzekł o sobie, podobnie jak to uczynił Jan-Chrzciciel: „On musi rość, a mnie musi ubywać". Musiałby tak rzec i tak postąpić, gdyby był jedynie stworzeniem, choćby najpiękniejszem i największem, gdyż każdy kult stworzenia, zaciemnia w człowieku obraz Boga, odwraca go od drogi, na której człowiek może stanąć wobec Boga osobiście i bezpośrednio jako dusza otrzymująca łaskę i przebaczenie. Jednak Jezus nie usuwa się, nie ubywa. Nie mówi: „Ja dałem świadectwo prawdzie, a więc mogę odejść, gdyż misja moja jest skończona". Inni wielcy ludzie, w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu, na każdym odcinku życia ludzkiego, mogli i musieli pojmować swoją rolę, jako głosiciele prawdy, którzy przemijają, by prawda pozostała. Takim jest Platon czy Arystoteles, Kopernik czy Newton, Bacon czy Kartezjusz, ich imiona mogłyby być nieznanemi ludzkości bez żadnego uszczerbku dla prawdy, której byli wyrazicielami i głosicielami. Tak samo i w sferze życia religijnego: choćbyśmy nie znali imion Mojżesza, Dawida czy Pawła nie mielibyśmy niczego mniej w Genezis, Psalmach i listach, przenikających do najtajniejszych głębin słabej ludzkiej duszy, oraz napełniających nową treścią zamierające życie świata antycznego. Ci ludzie byli świadkami prawdy. Stali się w pewnym momencie dziejów głosem, o którym wspaniale mówi prorok Izajasz, a który woła: „Przygotujcie Panu drogi". Jezus Chrystus był tem również, przyszedł na świat, aby dać prawdzie świadectwo, był świadkiem, słowem żywem Ojca, ale jednocześnie był czemś nieskończenie większem, i dlatego to śmiało, bez cienia jakichś wybujałych uroszczeń wypowiada słowo, które byłoby jedynie bluźnierstwem w ustach każdego innego, czy byłby to Mojżesz, Dawid czy Paweł: „Jam jest prawda". To powiedzenie Jezusa jest tak wysokiem ponad wszelkie najbardziej nawet wysokie dążenia człowieka, że wszyscy ci, którzy widzą w Nim jedynie „syna człowieczego" a jednocześnie chcą zachować Jego doskonałość etyczną, posuwają się nawet do twierdzenia, że Jezus tych słów nie wypowiedział. To czwarta Ewangelja, mówią, wkłada te słowa w Jego usta, a jest ona, jak twierdzą, dziełem aleksandryjskiego filozofa II wieku naszej ery, nadającego Chrystusowi znaczenie metafizyczne, do którego pokorny Jezus z Nazaretu nigdy nie miał pretensji. Nie pora ani miejsce rozważać takie twierdzenie, to też ograniczam się do przypomnienia jednogłośnego świadectwa pierwotnego chrześcijaństwa, które widziało zawsze w IV Ewangelji dzieło apostoła Jana, oraz równie jednogłośnego uczucia Kościoła Chrześcijańskiego na przestrzeni 18 stuleci, pozwalającego odnaleźć mu wierny wizerunek Zbawiciela w całości Nowego Testamentu bez podejrzewania go o sprzeczności, które ludzka i jedynie ludzkiemi możliwościami operująca krytyka 19 stulecia jakoby ujawniła i udowodniła. Trzymając się przeto ściśle naszego tematu mogę tylko stwierdzić, że Jan-Ewangelista zachował nam jedynie wiernie słowo Chrystusowe, w którem Jezus stwierdza swą całkowitą jedność z Bogiem i płynące stąd bezsporne prawo władania ludzkiemi duszami, i że pod tym względem niema żadnej różnicy w pojmowaniu znaczenia Jezusa pomiędzy Janem a innymi ewangelistami lub Pawłem. Któżby mógł inaczej twierdzić, czytając słowa Jezusowe z innych Ewangelji, jak: „Pójdźcie do mnie, wierzcie we mnie, miłujcie mię ponad wszystko"; albo tak wielce znamienne, pełne potęgi i świadomości swej boskości zapewnienie: „Oto ja jestem z wami, aż do skonania świata". A czyż o czem innem świadczą nam słowa Pawła, a w nich cała wiara pierwszych chrześcijan, gdy ten wielki uczeń Jezusowy mówi o swym Mistrzu: „Chrystus jest mym żywotem" tak bardzo świadczące, że są jedynie wykładem życiowym słów Jezusowych: „Jam jest prawda". To też możemy spokojnie poniechać wszystkich krytyków z całą ich bezpłodną i bezcelową krytyką, gdyż nie przeszkodzi ona nigdy sercu potrzebującemu pomocy i łaski Bożej połączyć się duchowo z tym ośrodkiem i najpiękniejszym wyrazem pełni życia radosnego i twórczego, jakim był dla pierwszego chrześcijaństwa, jakim był dla Kościoła i jakim pozostaje na wieki dla każdego, kto zna wartość wiary Jezus Chrystus „syn człowieczy" ale jednocześnie „Syn Boży".

Spróbujmy teraz bliżej zanalizować, co nam daje Zbawiciel nasz, mówiąc: „Jam jest prawda". Mimowoli nasunąć nam się musi pytanie: cóż jest prawda? Otóż prawdą zwiemy właściwy i ścisły stosunek między dwiema rzeczami. A więc słowo jest prawdziwem, jest prawdą, jeśli jest wiernym odtwórcą jakiegoś faktu czy idei, które wyraża. Formuła naukowa jest prawdziwą, jeśli wyraża wiernie i ściśle prawo, powodujące pewne zjawisko. Rachunek matematyczny jest prawdziwy, jeżeli oddaje wiernie rezultat, wynikający z wzajemnego stosunku dwu lub wielu różnych ilości. Każda więc prawda jest uwarunkowana istnieniem pewnego stosunku! W konsekwencji przeto możemy powiedzieć, że prawdą religijną będzie stosunek normalny, ostateczny, harmonijny i zupełny pomiędzy Bogiem a człowiekiem i odwrotnie.

Otóż my wyznawcy Jezusa Chrystusa wyznajemy, że On nietylko wyjaśnił nam ten właściwy stosunek, lecz że prócz tego zrealizował go w idealny sposób w swej własnej

osobie tutaj na ziemi. W nim spotkał się Bóg z człowiekiem, przenikając się wzajemnie w jedyny w dziejach sposób. Na ten fakt musimy zwrócić baczną uwagę i znaczenie jego docenić w całej pełni. Przypuśćmy bowiem, że Jezus powiedział nam jedynie kim jest Bóg, a kim człowiek, oraz jakim winien być prawidłowy stosunek między Bogiem a człowiekiem, czyli dał nam prawdziwą religję: czy to nam nie wystarcza? Nie, gdyż w takim wypadku mielibyśmy jedynie — że się tak wyrażę — teorję religji, nie zaś samą religję. Ale gdy patrzymy na Jego postać któż nie zauważy, że Jezus daje nam znacznie więcej, niż najpiękniejszą choćby teorję! W Nim, czyli w Jego nauce, w Jego czynach, w Jego osobie, w Jego cierpieniu, w każdej chwili, w każdem drgnieniu Jego serca przejawia się ciągle i niezmiennie człowiek, który zlewa się ze swym Bogiem, a jednoczeście Bóg, który całkowicie przenika człowieka. Jezus daje nam prawdę religijną, ale prawdę żywą, wcieloną, czynną i działającą, dającą nam odpowiedź na każde pytanie życia.

Chcemy może wiedzieć jakim jest Bóg nasz, czy jest sprawiedliwy, czy zna człowieka, czy go miłuje, czy pragnie go zbawić, albo może pragniemy wiedzieć, jaki jest obowiązek człowieka wobec Boga, czy może Go poznać, do Niego przyjść, odnaleźć, gdy Go stracił, czy możliwem jest pojednanie między Świętym Bogiem, a słabym, pełnym grzechu człowiekiem? Pytajmy wtedy apostołów, w jaki sposób odpowiadali oni swym współczesnym na takie pytania, a odpowiedzą nam jednogłośnie ustami i słowy Pawła: przez kazanie o Jezusie Chrystusie! To bowiem, czego ani najbardziej uczone rozprawy filozofów, ani najmędrsze rozumowania najtęższych umysłów nie były nigdy w stanie wyjaśnić człowiekowi, szukającemu Boga, to wyjaśnia natychmiast spojrzenie na osobę Jezusa Chrystusa.

Zapytamy się może jaka religja jest prawdziwa? Wskazujemy na Jezusa Chrystusa i mówimy: oto ona! nie może bowiem być nic prawdziwszego w sferze życia duchowego człowieka ponad to, co widzimy w osobie naszego Zbawiciela. Stosunek pomiędzy człowiekiem i Bogiem nie może lepiej być wyrażony, i czujemy całą duszą, że w Jezusie Chrystusie daną nam jest prawda religijna żywa i bezpośrednia. Słowo Chrystusowe: „Jam jest prawda" nie jest też jakimś frazesem filozoficznym lub oderwaną od życia definicją: daje ono człowiekowi treść najbardziej konkretną: Istotę widzialną, do której możemy się w każdej chwili zbliżyć, na którą możemy zawsze spoglądać, tak że nawet najprostszy umysł i najskromniejsze serce czuje, że znajdując Ją, mając Ją, znaleźli właśnie to, co jest najważniejszą instynktowną potrzebą ludzkiej duszy. Czyż mało mamy dowodów w tym względzie na przestrzeni wieków? Zaprawdę najgłębsze i najczystsze przekonanie w innych dziedzinach życiowych, największy entuzjazm i radość, gdy po długiej i mozolnej pracy i wysiłku możemy zawołać: „eureka—znalazłem!"—to jedynie słabe odbicie tej radości, entuzjazmu i potęgi przekonania, które odczuwały poprzez wszystkie wieki naszej ery dusze, które szukając Boga i Jego prawdy, znalazły na swej drodze Jezusa Chrystusa, jako największą prawdę swego serca. Oto dlaczego ma On prawo, więcej nawet, odczuwa jako swój obowiązek wobec Boga i człowieka, by mówić i stwierdzać, przy całej swej cichości i skromności człowieczego syna, lecz w świadomości swej jedności z Ojcem swym: „Jam jest prawda".

T. GRUDA.

„600 PASTORÓW NIEMIECKICH I T. D."

Nagłówek biorę w cudzysłów, bo wiadomość podana pod nagłówkiem zaczynającym się od takich właśnie słów, brzmi trochę bądź co bądź fantastycznie. Chodzi mianowicie o 600 pastorów, którzy jakoby mieli wystąpić z Kościoła ewangelickiego i przyjąć katolicyzm. Pisma nasze idąc za „Wiener Zeitung" z dnia 11 kwietnia r. b. podały wiadomość jakoby profesor teologji ewangelickiej Karol Thieme zwrócił się z listem do papieża, w którym prosi go o opiekę. List ten ma brzmieć:

„Chęć słuchania nakazów Pana naszego Jezusa Chrystusa skłania nas do szukania opieki u Ciebie, Ojcze Święty, ponieważ nie wierzymy, by nakazy Pana naszego mogły być wykonywane należycie w gminach, pozostających pod władzą nowego biskupa niemieckiego Kościoła ewangelickiego. Bezwzględne związanie się tego Kościoła z obecnem państwem w Niemczech było dla nas oznaką, że nowy ten Kościół w decydujących punktach pozostaje w nieprzejednanej sprzeczności z duchem Pana naszego, wyrażonym w Nowym Testamencie oraz z tradycją niesfałszowanego luteranizmu. Przekonaliśmy się, że w niemieckim Kościele ewangelickim niema żadnej instancji

obronnej przed odszczepieństwem.—Pragniemy zawrócić z drogi, która doprowadziła do oderwania się od jedynego świętego katolickiego Kościoła i prosimy z pokorą o ponowne doń przyjęcie".

Do tego osobliwego listu dodają dzienniki od siebie, że stanowisko Thiemego podziela 600 pastorów niemieckich. — Znamy takie ruchy, w których np. wyznawcy Kościoła rzymskiego masowo przechodzili do Kościoła ewangalickiego, np. „Los von Rom-Bewegung", nie uważamy więc za niemożliwy ruch w kierunku odwrotnym. Zastanawia nas jednak ten list profesora Karola Thiemego, zgoła zbędny i ułożony bardzo naiwnie. Kto chce przejść na katolicyzm rzymski, może to zrobić w sposób niesłychanie prosty przez pierwszego lepszego proboszcza. Kto chce przejść na katolicyzm nie potrzebuje pisać aż do papieża. A jeśli tym kimś jest jeszcze profesor teologji ewangelickiej, to wie on aż nadto dobrze, że w Rzymie nie można szukać opieki papieża dla „niesfałszowanego luteranizmu". Niesfałszowany luteranizm jest herezją, a Rzym mógłby powiedzieć profesorowi tylko jedno słowo o tej herezji: porzuć!

Czy taką naiwność mógł więc popełnić profesor teologji ewangelickiej? Karol Thieme urodził się 20.VII 1862 r., od roku 1890 był docentem a od roku 1894 profesorem teologji systematycznej w Lipsku. Jest on autorem wielu dzieł teologicznych, a między innemi napisał książkę „Testament Lutra przeciw Rzymowi" (1900 r.). W roku 1930 napisał „Wyznanie augsburskie i katechizmy Lutra" (Die Augsburgische Konfession und Luthers Katechismen), zaś w roku 1931 wydał dzieło o duchu etyki luterskiej w apologji Melanchtona (Der Geist der lutherischen Ethik in Melanchthons Apologie). Jak widzimy, w dorobku jego duch Lutra odgrywa wielką rolę: Testament Lutra, wyznanie augsburskie, etyka luterska...

Jeśli kto, to on chyba rozumie najlepiej, że dla takich rzeczy nie można szukać opieki w Rzymie. Zwracać się do papieża o ochronę „niesfałszowanego luteranizmu", czyli o opiekę dla nieprzejednanej herezji, byłoby czemś bardzo podobne do drwin z samego siebie i swojej wiedzy. Kto chce przejść na katolicyzm rzymski, idzie do najbliższego proboszcza katolickiego, uczy się katechizmu i po dopełnieniu przepisanych aktów, zostaje przyjęty na łono tego Kościoła. To jest droga nietylko najprostsza ale zarazem jedyna. Gdyby uczony profesor pisał do papieża, to nie mógłby pisać o „niesfałszowanym luteranizmie", czyli o herezji specjalnie niemiłej Rzymowi. Bezpośrednio po wojnie wielu wybitnych ewangelików ubolewało nad rozbiciem narodu niemieckiego i w okresie, gdy Kościół ewangelicki pozbawiony był jednolitego kierownictwa, kilka przygnębionych osób przeszło na katolicyzm. Rzym oczekiwał wielkiego ruchu w tym kierunku, ale do takiego ruchu nie doszło oczywiście i skończyło się na niewielu osobach, skompensowanych obficie przechodzeniem z katolicyzmu na ewangelicyzm. Gdyby więc 600 pastorów chciało przejść na rzymski katolicyzm, to pisanie do papieża naiwnego listu o niesfałszowanym luteranizmie byłoby zgoła zbędne.

Inna rzecz, gdyby chodziło o manifestację przeciwko biskupowi Müllerowi i faworyzowanemu przez niego ruchowi „niemieckich chrześcijan". Ale postać manifestacji byłaby zgoła nielogiczna, bo protestując przeciwko biskupowi Müllerowi za to, iż niweczy niesfałszowany luteranizm, osoby protestujące zrzekłyby się wszak tego niesfałszowanego luteranizmu na rzecz romanizmu. Inaczej przedstawiają się wiadomości nadchodzące z Bazylei, według których w Nadrenji i Westfalji od Kościoła urzędowego oddzieliło się 140 gmin ewangelickich, przyłączając się do wolnego synodu ewangelickiego, a mianowicie dla zaprotestowania przeciko tolerowaniu ruchu niemieckich chrześcijan w łonie Kościoła ewangelickiego.

Niebardzo rozumiemy takich np. wiadomości, w których mowa jest o tem, że „szereg wybitnych osobistości Kościoła ewangelickiego zwróciło się do kardynała Faulhabera z wezwaniem o udzielenie poparcia w walce z ruchem rasistowskim". Kościół ewangelicki pod opieką kardynałów rzymskich to bądź co bądź rzecz niezwykła i nawet niesłychana. Kto zna stosunki niemieckie, temu nie trzeba mówić, że Kościół rzymski nigdy i nigdzie nie chciał wchodzić w jakiekolwiek porozumienie z Kościołem ewangelickim. Ileż to sporów i zatargów bywało na tle małżeństw mieszanych, gdy proboszczowie katoliccy domagali się „rewalidacji" małżeństwa, gdy ślubu udzielał duchowny ewangelicki! Ileż było zatargów innego rodzaju! Pierwszy lepszy numer pisma ewangelickiego dawał co tydzień kilka przykładów nieprzejednania Kościoła rzymskiego wobec „herezji".

Nikt rozsądny nie brał tego Kościołowi rzymskiemu za złe. Taka jest jego zasada i tej zasady trzyma się wiernie. Nad inowiercami rozciągał on chętnie opiekę, ale zawsze pod jednym warunkiem sine qua non: przejdź na wyznanie rzymsko-katolickie. To nieprzejednane stanowisko Kościoła rzymskiego jest wszystkim doskonale znane i w tej znajomości jego postawy jest nawet uczucie szacunku choćby za to, że zawsze wiadomo z kim i z czem ma się tu do czynienia. Wyobrazić sobie nagle, że jakiś uczony teolog ewangelicki zwróci się do papieża rzymskiego z prośbą o ochronę niesfałszowanego luteranizmu jest czemś tak niedorzecznem, iż trudno poprostu wyobrazić sobie skąd się takie rzeczy biorą. Pierwsze lepsze dziecko ewangelickie wie doskonale, że

cały ewangelicyzm jest jedną wielką herezją dla Rzymu. Tu nie może być mowy o unji, jak np. między prawowiernym Rzymem a prawosławną schizmą. Ewangelik, szukający opieki papieża dla swej wiary, może znaleźć tę opiekę tylko pod warunkiem zrzeczenia się herezji.

„Deutsch-Evangelische Korrespondenz" z d. 11 kwietnia r. b. pisze o tych wieściach pod nagłówkiem: „Dzikie fantazje pism zagranicznych". W komunikacie tego pisma czytamy, że w kierowniczych kołach niemieckiego Kościoła ewangelickiego nic o tym rzekomym ruchu nie wiadomo. Pismo niemieckie wywodzi, że te wiadomości powtarzają się od czasu do czasu i że zawsze pochodzą z jednego i tego samego źródła. Gdy ktoś pragnie sprawdzić sam rozgłaszany fakt, okazuje się, że w podanej miejscowości, która ma być widownią jakichś nadzwyczajnych ruchów, nic o nich nie wiadomo.

Poczekajmy, a zobaczymy, ile w tem wszystkiem jest prawdy. 600 pastorów to wielka liczba, bo za nimi stoi conajmniej 2 miljony ewangelików. Otóż ruch tak wielki nie może minąć niedostrzeżony. Jeśli w przeciągu jakiego miesiąca nie dowiemy się czegoś konkretnego, to możemy sobie powiedzieć, że wieść o 600 pastorach ewangelickich, szukających opieki dla „niesfałszowanego luteranizmu" u papieża, należy do gatunku tych bajeczek, które rodzą się poto tylko, aby bez hałasu i krzyku umrzeć niedostrzeżenie i przepaść w niepamięci. Zdaje się, że i tym razem stanie się to samo.

Ks. EMIL JELINEK.

JESZCZE O BAPTYSTACH.

Artykuł mój o Baptystach, drukowany jeszcze w ub. roku w 11 i 12 numerze „Jednoty", stał się wbrew mej chęci przysłowiowym kijem w mrowisku. Ciągle on jeszcze jątrzy i gniewa Braci Baptystów i ... czytelników „Słowa prawdy". Najniesłuszniej w świecie.

W artykule tym starałem się możliwie objektywnie przedstawić początki i dzieje Baptystów zarówno w Anglji, Ameryce, jak i na kontynencie europejskim, nie wyłączając nawet Polski. Sądziłem, że czytelników „Jednoty" zainteresują dzieje Baptystów tak jak niewątpliwie interesuje każdego ewangelika każdy inny ruch ewangelicki bez względu na to, czy ten ruch odbywa się blisko, czy daleko, w chwili obecnej, czy w przeszłości. Zdawało mi się także, że mam do tego najzupełniejsze prawo. Tymczasem organ polskich Baptystów „Słowo prawdy" uznał snać mój artykuł za przywłaszczenie sobie cudzej licencji i przez usta p. W. Gutszego orzekł, że chyba tylko wskutek dziwnego zbiegu okoliczności artykuł mój o Baptystach dostał się na łamy „Jednoty". Ale nie to było powodem zgorszenia.

Wydaje mi się, że gdybym poprzestał tylko na historycznym rysie wszystko byłoby w najlepszym porządku. Artykuł mój nie spotkałby się z dyszącą nienawiścią i ostrą krytyką. Pan W. Gutsze pisałby może z zachwytem o braterskim stosunku pastora reformowanego do Baptystów i prosiłby jeszcze o dalsze takie „ciągi". Ale zachciało mi się ruszać niemiłe sprawy i zepsułem wszystko. Niezręcznie wyraziłem zdanie, że niestety nie wszyscy polscy Bracia Baptyści umieją zaletami ducha dorównać wielkim swym przodkom Bunnyanom i Spurgeonom i że zamiast budować samych siebie nieraz zgoła niepotrzebnie narzucają się ze swemi przekonaniami braciom w Ewangelji Chrystusowej, różnym lutrom, kalwinom, metodystom i anglikanom, szczególną jednak sympatją obdarzając reformowanych. Pan Gutsze tak mocno wziął sobie to do serca, że w niepohamowanym gniewie powiedział mi wiele nieprzyjemnych słów. Potraktował mnie jak prowincjonalnego głuptaska, który jeszcze o wielu rzeczach nie słyszał a na świat Boży patrzy tylko przez okienko swoich rodzinnych pieleszy. O samem meritum sprawy p. Gutsze wolał przezornie milczeć, a polemikę skierować na tory dogmatyczne, choć uczyniłby lepiej gdyby rzekł non possumus, niż wtłaczać słowo tam, gdzie pojęcia nie staje.

Być może, że jestem w błędzie. Może nie tyle sama treść mojego artykułu rozjątrzyła p. Gutszego, ile forma. Może nie dość jasno i nie dość spokojnie przedstawiłem misyjne sposoby niektórych Braci Baptystów. Za to p. Gutszego przepraszam. Postaram się swój błąd naprawić i wyjaśnić o co mi chodziło.

Ewangelicyzm bez względu na wyznania i denominacje w nim istniejące stanowi w Polsce tak minimalną mniejszość wyznaniową, że chce czy nie chce musi dla swego ogólnego dobra dążyć do konsolidacji i do tworzenia jednolitego zwartego obozu, a za wszelką cenę unikać tego, co mogłoby tej jedności szkodzić. Członkowie polskiej duchowej rodziny ewan-

gelickiej nie mogą sobie wzajemnie uprzykrzać życia, czy to swoją wyłącznością, czy też przekonaniem o swojej rzekomej wyższości nad pozostałymi członkami rodziny. Takiemu właśnie celowi skupiania polskiego ewangelicyzmu służą między innemi piękne w swej intencji Powszechne Tygodnie Modlitewne i Tygodnie Misyjne, na których duchowni różnych wyznań głoszą w różnych „Kościołach", „zborach" i „sektach", w różnych kaplicach i domach modlitw jedną i tę samą Ewangelję o Jezusie Ukrzyżowanym, a ewangelicy choć przez chwilą uświadamiają sobie, że są członkami jednego duchowego ciała powszechnego Kościoła Chrystusowego. Ja sam, acz starą tradycją Braci Czeskich mocno związany z zasadami Kościoła Ewangelicko - Reformowanego, nieraz już służyłem Słowem Bożem braciom metodystom i anglikanom. Mimo dzielących mnie od nich drobnych różnic czułem się zawsze w ich gronie bardzo dobrze i tuszę sobie czuli się podobnie ze mną moi bracia metodyści i anglikanie. Nie przesadzę chyba jeśli powiem, że czuliśmy się zobopólnie jak dzieci jednego Ojca w niebiesiech. Bracia Baptyści biorą również udział w takich wspólnych modłach. Nie rzadko na reformowane nabożeństwa ewangelizacyjne przychodzą członkowie innych wyznań. Wiem również, że wielu reformowanych chodzi na godziny biblijne i gdzie indziej. Ale nikomu ani przez myśl nie przejdzie „nawracać" tych miłych gości na swoje wyznanie. Tymczasem nie wszyscy, niestety, Bracia Baptyści umieją pracować w jedności ducha i pokoju z innymi braćmi w Ewangelji Chrystusowej, aby im nie zachwalić skwapliwie swojego wyznania. Owszem, wiem z własnego doświadczenia i ze słyszenia, że niektórzy z pośród nich w przekonaniu wyższości i jedynozbawczości zasad swego wyznania, jeśli się tak wolno wyrazić, przypuszczają szturm do braci ewangelików, pragnąc ich zjednać dla swego zboru. O tem oddawna słyszałem z różnych stron i z wielu ust wyznawców i duchownych różnych wyznań ewangelickich i, przyznaję się, zawsze mnie to szczerze gniewało. Owo narzucanie się Braci Baptystów ze swojemi przekonaniami tłumaczyłem sobie jednak brakiem świadomości łączności i braterstwa ewangelicznego pewnych jednostek, które w przekonaniu wyższości zasad swego wyznanie starały się narzucić je również i innym braciom w Ewangelji. Wiem, że owo narzucanie się odbywało się w najrozmaitszy sposób zależnie od warunków i okoliczności. Niekiedy był miły wieczorek z muzyką i deklamacjami, kiedy indziej cicha namowa gdzieś na uboczu, a nawet taka czy inna obietnica. Do każdego trzeba było umieć zastosować odpowiednią metodę „nawracania". Do jednej np. szczerze wierzącej niewiasty pewien kaznodzieja baptystyczny starał się przemówić do serca takim argumentem: „Kiedyż siostra da się ochrzcić, boć przecież powinna to siostra uczynić skoro tak dobrze zna Pismo Św." Misyjnie usposobiony brat czy siostra Baptyści tak długo kręcili się koło upatrzonej osoby, póki nie złowili jej w swe sieci. Zadawałem sobie nieraz pytanie, o co tym ludziom chodzi? Czy naprawdę chodzi im o zjednanie dla Chrystusa ginącej w rzekomej ewagelickiej martwocie ludzkiej duszy? Czyż są oni świadomymi swych czynów Faryzeuszami? Nie, czynią jeno to, co sami uważają za słuszne. To już głęboko leży w zasadach baptyzmu: nawracać wszystkich i wszystko, bo wszystko jest złe, nienawrócone i niewierzące. Nawróconymi i wierzącymi są tylko Baptyści—myśli znaczny procent Baptystów. Są za prości na to, aby inaczej pojąć Słowo Boże—jak to szczerze wyznaje pan Gutsze. I ani im przez myśl nie przejdzie, aby wyzbyć się tego prostactwa i innem okiem spojrzeć na świat Boży i koronę Bożego stworzenia — człowieka. W ciasnych ramach ich światopoglądu nie może się zmieścić wszechmiłość Boża, ogarniająca wszelkie stworzenie. Nie umieją pojąć, że Wieczny Syn Boży jednako wszystkich ukochał i za wszystkich lutrów, kalwinów, metodystów i katolików poniósł śmierć na krzyżu. Nie może im pomieścić się w głowie, żeby Chrystus mógł kogokolwiek zbawić bez ich pośrednictwa, świętych i wybranych ludzi. Stąd ich żarliwość religijna, stąd to naprzykrzanie się o konieczności chrztu. Czyż można tym ludziom powiedzieć: źle czynicie? Jakto źle, kiedy oni uważają to za swoje najprzedniejsze powołanie?! To też p. Gutsze w przekonaniu o swej moralnej i duchowej wyższości, acz z jednej strony chętnie z dumą-by się przyznał do starych świetnych tradycyj polskiego Kościoła Ewangelicko-Reformowanego, to z drugiej strony z wyżyn swej doskonałości życzy mu więcej ducha reformacyjnego i ognia wewnętrznego, aby za główne swe zadanie uważał zyskiwanie dla Chrystusa ginących w kościelnej martwocie ludzi, tak jakgdyby ten Kościół jeszcze czem innem się zajmował. Inny jeszcze kaznodzieja baptystyczny, p. J. Turoń, zawodzi bolesne jeremiady nad „bagnem zgnilizny duchowej" ewangelickiego Kościoła na Śląsku Cieszyńskim, którego członkowie „nie mają odwagi podnieść głowę protestu przeciw różnym machinacjom sług kościelnych". Czegóż tu się po takich braciach spodziewać?!

To też kiedy niedawno przybyły z Ameryki kaznodzieja baptystyczny zabrał się całkiem serjo do „nawracania" ewangelików, czyż mogłem jako duchowny Kościoła Ewangelicko-Reformowanego patrzeć na to bezczynnie? Czyż nie musiałem zaprotestować przeciwko praktykom p. T. publicznie na łamach „Jednoty", aby zwrócić uwagę tego pana i kilku podobnych mu jego współwyznawców na niewłaści-

wość takiego postępowania? Prawda, jako człowiek młody do żywego oburzony taką bezceremonjalnością, zaprotestowałem może w sposób zbyt ostry tak, że nawet starszy ode mnie wiekiem p. Gutsze oprócz „kwadratury koła" nic więcej w tym proteście nie znalazł. Oślepiony gniewem dojrzał w nim tylko sporo ironji, ba nawet cynizmu, bezczelnej napaści na swoje wyznanie i sporą dozę brawurowej chęci wszczynania mało dziś interesujących kogokolwiek dogmatycznych sporów. Za rzekomą napaść na Bogu ducha winnych Baptystów starszy brat w Chrystusie napadł na młodszego brata i odsądził go nieledwie od czci i honoru. Powtarzam, artykuł mój był może istotnie miejscami zbyt ostry, ale czyż starszy brat za swą perorę nie powinien się był spodziewać od młodszego brata czegoś więcej nawet, niż kilku „pobożnych życzeń", aby uważniej czytywał „niepoważne" artykuły i rzetelnie na nie odpowiadał, a nie tarmosił po próżnicy osoby ich autora?! Ale p. Gutsze obraził się za to na mnie i prosi teraz Pana Boga, aby pozwolił mu tak długo milczeć wyrozumiale, póki nie nauczy się z całym spokojem wrócić do sprawy przeze mnie poruszonej. Umiem ocenić intencję p. Gutszego i jestem mu szczerze wdzięczny już choćby za samą chęć spokojniejszego potraktowania sprawy.

Zdawałem sobie aż nazbyt dobrze sprawę z „cepowatej" formy mojej odpowiedzi. To też „Pia desideria" zaopatrzyłem w śmieszny podtytuł: „artykuł polemiczno-niepolemiczny". Niepolemiczny—ponieważ na wywody p. Gutszego najchętniej nie odpowiadałbym wcale, lub conajmniej w innej formie, niż to uważałem za stosowne uczynić. Zgóry bowiem wiedziałem, że takie „Pia desideria" nie mogą mi przynieść specjalnej chwały. Ale specjalnie tej formy użyłem, aby wykazać p. Gutszemu, że kto jaką bronią wojuje od takiej ginie. Artykuł zaś polemiczny — ponieważ bądź co bądź z p. Gutszem polemizowałem i to w tym celu, aby polemikę skierować na właściwe drogi, a p. Gutszemu nie dać powodu do błędnego tłumaczenia sobie mojego milczenia. Ponieważ p. Gutsze narazie nie umie zdobyć się na szczyptę objektywizmu i spokoju, aby bez gniewu omówić sprawę poruszoną przeze mnie, woli wszystkiemu dać spokój i milczeć. Powtarzam, cenię i szanuję to milczenie. Sam również będę milczał i całą sprawę będę uważał za skończoną, jeśli oczywiście kto inny nie przerwie mojego milczenia i nie sprowokuje mnie do ponownego użycia, jak to powiada p. Gutsze, ciężkiej artylerji i gazów trujących. (P. Gutsze daruje mi to militarystyczne porównanie).

Ponieważ jednak znalazł się, zdaje się przez nikogo nieproszony, adwokat p. Gutszego i na gościnnie udzielonych mu przez Redakcję łamach marcowego numeru „Słowa prawdy" urządził sobie wycieczkę przeciwko mej osobie, jestem zmuszony „grzmieć" dalej. Pan Mieczysław Cynke również o samej sprawie nie rzekł ani słowa. Zadowolił się wywodami o koniecznej potrzebie maleńkiego (a dlaczegóżby nie dużego?) dokształcenia mojej osoby. „Dokształcony" p. Cynke arbitralnym tonem „prześwietnego polonisty" (jego własne słowa) zarzucił mi, że niepotrzebnie poufalę się z językiem polskim (ano, myślałem, że każdy człowiek ma prawo poufalić się ze swym językiem ojczystym, ale skoro nie, to nie) i że niezręcznie tworzę neologizmy jak np. zeszłowieczny i przewspaniały (doprawdy, wprawy do tego nie mam). Pan Cynke musi wysilać swój dowcip, żeby zrozumieć moje zadania i ze zdumieniem przecierać oczy, kiedy... i t. d.

Ze względu na poziom tej polemiki nie mogę na łamach „Jednoty" dać p. Cynkemu takiej odpowiedzi, na jakąby jego praca zasługiwała. Chętnie jednak udzieliłbym mu jej na łamach „Słowa prawdy", gdyby tylko Szanowna Redakcja tego organu i mnie udzieliła swej gościny. Zgóry mogę upewnić Szanowną Redakcję, że na łamach Jej poczytnego pisma takbym zaiskrzył swoim pseudo-dowcipem, że p. Cynke naprawdę musiałby ze zdumieniem przetrzeć oczy, albowiem niejedna jeszcze dla niego ciemna sprawa narazby się rozjaśniła [1]).

Na łamach „Jednoty" wolno mi tylko przyznać się do wielkich jeszcze luk w mem wykształceniu. Ciągle się muszę jeszcze czegoś uczyć. Po raz nie wiem już który stwierdzam prawdę słów starego poczciwca: im więcej wiem, tem lepiej wiem, że nic nie wiem. Dlatego, nie gniewam się wcale, jeśli mi p. Cynke powie, że po polsku pisze się tak a tak, owszem, usłucham jego rady i będę tak pisał chociażby na złość różnym Łosiom, a całą winę za to zwalę na „prześwietnych polonistów" i powiem, że mnie tak właśnie uczyli. Nie biorę również za złe p. Cynkemu, że nie jest teologiem i ze zdumieniem przeciera oczy kiedy teolog wykazuje nieteologowi w kategorjach mu dostępnych do czego może doprowadzić nieteologiczna egzegeza Pisma Św. Ale stanowczo muszę skorygować zdanie p. Cynkego jakoby to „teolog" nazywał dysputą teologiczną. Przecież „teolog" wyraźnie to nazwał „próbką" teologicznej dusputy, przyczem słowo próbka użył w tem samem zrozumieniu i również w cudzysłowie jak i p. Gutsze. Ręczę p. Cynkemu, że gdyby był teologiem i uznał za konieczne wszcząć ze mną dysputę teologiczną (ale taką prawdziwą), to nie dawałbym mu

[1]) Jak zapewnia Redakcja „Słowa prawdy" p. Cynke nie jest Baptystą, choć należałoby raczej powiedzieć „nie jest nim jeszcze dotąd", albowiem wiem, że nim będzie. Ale mniejsza o to. Redakcja „Słowa prawdy" widocznie upatrywała w tym fakcie atut dla siebie. — Pan Cynke artykuł swój zatytułował: „Iskry". Słowa: prześwietny polonista i pseudo-dowcip są neologizmami p. Cynkego.

„próbek". ale całe sztuki teologicznej szermierki.

Lecz dość! Nie chodzi tu przecież o to kto zacz jestem, lub kim jest p. Gutsze albo p. Cynke i który z nas umie lepiej kosztem bliźniego ostrzyć swój „pseudo-dowcip", bo to nikogo nie interesuje, a wywołuje jeno niesmak ludzi myślących. Wydaje mi się, że uczynimy lepiej kiedy ukryjemy swoje czcigodne osoby tam gdzie należy i zachowamy albo zupełne powściągliwe milczenie, albo spokojnie porozmawiamy o tem, czy to ładnie, kiedy niektórzy Bracia Baptyści zapominają o duchowem pokrewieństwie z ewangelikami, za coś lepszego od nich się uważają i gwałtem swych niegodnych braci darzą swem zbawieniem, chociaż ci ich wcale o nie nie proszą.

Z pewnością Bracia Baptyści jako całość nie pragną postępowaniem pewnych swych niepoczytalnych jednostek zarobić sobie w Polsce na miano pasorzytów, żerujących na polskim ewangelicyzmie? Chyba naprawdę pragną współpracować ze wszystkimi bez wyjątku ewangelikami w duchu Chrystusowym nad ugruntowaniem i umocnieniem w wolnej Ojczyźnie naszej Królestwa Bożego na ziemi? Dlatego też jeśli Bracia Baptyści odkryją w swem gronie takiego, który tak nie pracuje, upomną go bratniemi słowy i nie będą się gniewać na tego, który im szczerze w oczy powie, że taka jednostka nie przysparza im ani chwały, ani pożytku. Bracia Baptyści w takich wypadkach, czego nie daj Boże, nie będą atakować ks. ks. Jelinków i nie będą odsądzać ich od czci i wiary, ale uderzą się z pokorą w własne piersi, albowiem apostoł Chrystusowy powiada: kto mniema, że stoi, niechaj patrzy aby nie upadł, a Chrystus Pan powiada: kto się wywyższa ten będzie poniżony. Tuszę, że o tej świętej przestrodze pamiętać będą nie tylko Bracia Baptyści, ale ci wszyscy bez różnicy wyznania i denominacji ewangelicy, którzy zaliczają samych siebie do duchowej polskiej ewangelickiej rodziny. Wtedy nie będzie może między nami ewangelikami swarów, a „poganie" jak za starych Chrystusowych czasów będą o nas znowu mówić: spójrzcie, jak się wzajemnie miłują.

PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI.

WRACA POKÓJ.

Podczas wojny światowej nieraz słyszeliśmy słowo o tem, że ta wielka wojna jest ostatnią wojną wogóle, czyli wojną przeciwko wojnie i że po niej zapanuje wieczny pokój. Niestety, pokój stał się źródłem długotrwałego niepokoju, jakiego świat nie znał dotychczas w takich wymiarach. Z pobojowisk straszliwego zniszczenia wojna przerzuciła się w dziedzinę gospodarczą, narody poodgradzały się od siebie wysokiemi cłami i celnicami, a zarazem zaczęły się zbroić gorączkowo, rozumiejąc, że wielka siła zaczepna może być powstrzymana od awanturniczych wypraw tylko przez równie wielką siłę odporną. Tematem bardzo częstym w publicystyce czasów pokojowych była wojna w jej nowych postaciach i przy zastosowaniu nowych rodzajów broni, przedewszystkiem gazów trujących.

Ten dziwny pokój miewał chwile zawężleń tak dramatycznych, iż w zaniepokojonych umysłach rodziła się obawa, że z dnia na dzień buchnąć może groźny płomień nowej wojny. Ten stan trwał długo. Ileż było różnych zjazdów, kongresów, konferencyj! Najwięksi gracze dyplomatyczni spotykali się z sobą w różnych miejscowościach, radzili, porozumiewali się, czynili sobie obietnice i ustępstwa, ale w chwili, gdy mogło się zdawać, że już-już coś zmieniło się na lepsze, stare antagonizmy wybuchały ze zdwojoną siłą i trzeba było zaczynać wszystko od nowa.

Ten stan nerwowości niemal wszechświatowej trwał jeszcze niedawno, gdy Mussolini realizował swój ambitny pakt czterech, niweczący ustaloną zasadę równości demokratycznej w stosunkach międzynarodowych. I właśnie ten pakt czterech, który z całą świadomością wskrzeszał hegemonję jednych nad drugimi, licząc się z zakłóceniem pokoju i z narzuceniem wszystkim „słabszym" woli mocnych, stał się momentem zwrotnym w dziejach niespokojnego pokoju. Politycy zbyt ambitni spostrzegli nagle, że ci, których koniecznie chciano zrobić słabszymi, nie koniecznie muszą być słabsi, jeśli nie chcą. To było punktem zwrotnym.

Ci, co bali się o pokój, zwracali oczy przedewszystkiem na wschód Europy, uważając granice polsko-niemieckie i polsko-rosyjskie za linję, na której lada chwila mogą buchnąć płomienie. Niejeden z przedstawicieli wielkich mocarstw, a może tylko wielkich ambicyj osobistych, gotów był okupić pokój własnego kraju ofiarami ze strony krajów upatrzonych. Iluż to uczynnych polityków gotowych było oddać nasze Pomorze wzamian za przewidywane dla siebie korzyści! Polska patrzyła na to wszystko uważnie, przestrzegała, radziła, wskazywała na pewne fakty i na tych faktów konsekwencje. Niewiele to pomagało: stare nałogi i stara rutyna robiły swoje.

Wszystko to zmieniać się zaczęło w tempie bardzo szybkiem, gdy Polska wyłamała się z więzów skostniałej rutyny i zaczęła tworzyć pokój tam, gdzie prastare nałogi domagały się stanu niepokoju, czy nawet wojny. Przez długie lata opinja polityczna Europy uważała Rosję sowiecką za kraj, z którym trzeba żyć na stopie jakiegoś zawieszenia broni. Był to niemal dogmat polityczny, o którym nie wolno było wątpić. Lecz oto Polska, która w roku 1920 musiała stoczyć z Sowietami krwawą wojnę i zawarła po tej wojnie pokój, jęła go pogłębiać już nie słowami tylko, ale praktyką życiową, aż doszło do zawarcia paktu o nieagresji między Polską a Sowietami. Wszyscy spoglądali po sobie z wielkiem niedowierzaniem. Jakto? Te dwa kraje, z których rutyna polityczna czyniła nieprzejednanych wrogów, chcą żyć obok siebie spokojnie i pokojowo? Niedość na tem, bo między obu społeczeństwami zaczęły się wytwarzać stosunki naprawdę pokojowe i po sąsiedzku życzliwe. Po obu stronach granicy pokój stał się rzetelnym programem i przy różnicach wyznań polityczno-społecznych spróbowano okazać sobie tolerancję. Ta tolerancja przemieniła się niebawem w życzliwość, manifestowaną przy każdej nadarzonej sposobności, że wspomnimy tu choćby o stosunku ludności rosyjskiej i władz sowieckich podczas katastrofy naszych lotników na terytorjum rosyjskiem. Z tych drobnych faktów składają się dzieje i dzisiaj mamy uzasadnione wrażenie, że na granicy polsko-rosyjskiej panuje prawdziwy pokój, który się utrwala.

Niejeden gotów był myśleć, że ten pokój polsko-rosyjski był poprostu koniecznością wobec możliwości zatargów na zachodniem pograniczu Polski. Ileż usiłowań spełzło na niczem, aby i na tej linji ustalić i utrwalić pokój! Zdaje się, że i tu działały fatalne sugestje, nałogi myślowe, rutyna, wywodzące, że tu właśnie pokoju być nie może. Świat zdumiał się znowu, widząc, że Polska wbrew rutynie ustala i utrwala pokój, gdzie nie napotyka przeszkód pod tym względem. Polsko-niemiecki pakt nieagresji to nie byle co. Dziesięć lat pokoju, to dziesięć lat rozsądku, współpracy i możliwości poznania się wzajemnego dwóch narodów, które zmienne dzieje rozdzieliły i usposobiły dla siebie nieufnie. Oczywiście, polsko-niemiecki pakt nieagresji to nie wszystko, to dopiero początek trudnej pracy zbliżania się, poznawania się z sobą i porozumiewania. Ale w takich wypadkach najtrudniejszy bywa pierwszy krok. Wierzymy niezłomnie, że pokój Europy leży na linji wyłamywania się z więzów fatalnej rutyny, która nibyto dążyła do pokoju, ale wszystkim sugestjonowała wojnę, a przynajmniej nieufność i konieczność zbrojnej czujności.

Teraz zaczynają się odzywać głosy o konieczności uporządkowania stosunków polsko-litewskich. Litwa odgrodziła się od Polski bezwzględnie i stanowczo. Jeszcze nie tak dawno czytywaliśmy niemal codziennie o napadach litewskich szaulisów na pograniczną ludność polską, a głosy polityków litewskich były dla Polski zdecydowanie wrogie. Zdawało się, że jeśli gdziekolwiek dojdzie do układów i dobrych stosunków sąsiedzkich, to nie może dojść do nich na pograniczu polsko-litewskiem, gdyż wszystkie stronnictwa litewskie odnosiły się do Polski z jakąś nieuleczalną wprost nienawiścią. Czas, który bywa zawsze najlepszym lekarzem, zrobił i tu swoje. Kilkanaście lat stanu, który Litwa uważała za stan wojny z Polską, wytworzyło atmosferę, w której sama myśl o możliwości porozumienia się z sobą i pojednania, wydaje się czemś pięknem, pożądanem i możliwem. Nie wątpimy już, że porozumienie polsko-litewskie będzie jednem z tych ogniw, które na wschodzie Europy złożą się na łańcuch trwałego pokoju.

Możemy cieszyć się serdecznie, że inicjatorką tych poczynań pokojowych jest Polska. Z głębokiem zadowoleniem dostrzegamy, że właśnie od czasu gdy polityka Polski zerwała z rutyną i stała się aktywnie pokojową, zacichły odgłosy niezliczonych konferencyj i kongresów, zjazdów, narad, rozmów politycznych. Tam gdzie było dotychczas najniespokojniej i najgroźniej, potityka Polski wdraża pokój i spokój. To już nie są li-tylko traktaty. Ta praca pokojowa staje się dla ludzi pracujących czemś uchwytnem, wyczuwalnem, ten pokój w nowej postaci daje spokój dobroczynny i miły. Nie boimy się już otwierać pism porannych, które jeszcze nie tak dawno psuły nam usposobienie przykremi wieściami ze świata, groźbami zatargów, fatalnemi proroctwami. Z gazet znikła pewna stała rubryka jątrzeń i już ten prosty fakt sam przez się stwarza sytuację nową, dla pokoju pożyteczną.

Naturalnie, dalecy jeszcze jesteśmy od pokoju, który byłby pokojem w całem znaczeniu słowa, ale wyczuwamy całkiem wyraźnie, że przewlekły stan wojny sprzykrzył się zmęczonym ludziom i że w sercach rodzi się pragnienie pokoju. To jest najważniejsze. W dziejach świata daje się łatwo dostrzec pewien rytm: po akcji przychodzi reakcja, po pokoju — wojna, po wspaniałym rozkwicie kultury nadchodzi stagnacja. To są sprawy połączone z rytmem serc ludzkich i dusz. Dzisiaj w duszach ludzkich powstaje szczere pragnienie pokoju i temu instynktowi można zaufać. Wojna, która wybuchła orężnie w roku 1914, trwała do dni niedawnych i teraz dopiero dogasa. Wyczuwamy pierwsze podmuchy pokoju, wracającego po długich latach wojny i witamy go całem sercem, ciesząc się, że do dzieła tego wracającego pokoju przyłożyli najwydatniej rękę światli i mądrzy polscy mężowie stanu.

WOJCIECH WRZOS.

PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI I JEGO ŻYRARDÓW.

Ceniony w kraju i zagranicą publicysta, współwyznawca nasz p. Paweł Hulka-Laskowski, znany również czytelnikom „Jednoty" z całego szeregu świetnych artykułów, wydał nową książkę p. t. Mój Żyrardów. Książka ta, będąca pamiętnikiem zasłużonego polskiego pisarza, jest napisana tak ciekawie, że choć posiada blisko 400 stron normalnego księgarskiego formatu, połknąłem ją, jak się to zwykło mawiać, jednym haustem.

Pan Hulka-Laskowski w świetnej narracyjnej formie spowiada się ze swego osobistego życia, kreśląc dzieje polskiego pisarza i smutne koleje rodzinnego jego grodu — Żyrardowa. Autor pamiętnika zaraz na pierwszej stronie z miejsca ujmuje sobie czytelnika, przedstawiając mu się w najodpowiedniejszym momencie. „Siedziałem na szarej podłodze blisko drzwi i płakałem — zaczyna swoją rekomendację.—Drzwi były uchylone, na progu stała matka i pocieszała mnie, że zaraz wróci. W ręku trzymałem skórkę chleba i przez łzy patrzyłem na drzwi, które się nieubłaganie zamknęły za matką. Nieraz zadaję sobie pytanie, czy to jest naprawdę moje pierwsze wspomnienie i pierwszy przebłysk świadomości, czy też widziałem takie dziecko płaczące za oddalającą się matką i ten widok przywłaszczyłem sobie. Rozstrzygnąć tego pytania nie potrafję, ale gdy myślę o początkach życia, zawsze widzę siebie na podłodze u drzwi uchylonych i odczuwam gorzką krzywdę dziecka, które zostawiają same, nie wiedzieć dlaczego".

Tego pytania nie rozstrzygnie także czytelnik. Przyznać tylko musi, że autor pamiętnika dobrze mu się przedstawił i wywarł jaknajlepsze wrażenie. Chcąc nie chcąc trzeba czytać dalej i dowiedzieć się, co się z tym małym„ krzykaczem" później działo. A warto czytać dalej już choćby dlatego, aby się dowiedzieć o takich np, perypetjach z Bozią, która jak wiadomo okrutnie nie lubi kradzieży cukru. Chłopcu wmówiono, że Bozia nie lubi wielu rzeczy i srogo je karze. Chłopiec we wszystkiem widzi palec Boży, a właściwie srogą rękę, uzbrojoną na postrach nieposłusznych dzieci w ciężkie berło. Trójkątne oko z obrazu na wszystko patrzy i wszystko widzi. Niekiedy jednak pokusa jest większa od strachu przed karą. „Pewnego popołudnia — spowiada się p. Hulka-Laskowski — nadarzyła się taka sławna sposobność, że można było wziąć niepostrzeżenie aż trzy kawałki cukru do chleba. Serce podskoczyło radośnie, będzie uczta. Ale w izbie zrobiło się tymczasem mroczno, wicher zatrzasnął drzwi; a gdzieś, pod samym domem zagrzmiało tak mocno, aż szyby zabrzęczały. Nie było wątpliwości: Bozia widziała, jak kradłem cukier i masz tobie! Wierzyłem niezachwianie, że gdybym oddał cukier, to burza skończyłaby się natychmiast jako bezprzedmiotowa i bezcelowa. Ale tak żal było wyzbywać się słodkiej zdobyczy! Może Bozia pohałasuje i ostatecznie pogodzi się z faktem kradzieży. Na wszelki wypadek wlazłem pod łóżko, jak czyniły wszystkie dzieci okoliczne podczas burzy. W spoconej dłoni zaciskałem kurczowo trzy kostki cukru. Burza grzmiała, błyskała, tłukła deszczem o okna z takim gniewem, iż należało coś zrobić, aby z nią zakończyć, a przynajmniej złagodzić ją trochę. Po jakiejś oślepiającej błyskawicy, która całkiem wyraźnie wślizgneła się do mnie pod łóżko odruchowo wyrzuciłem na środek izby jeden kawałek cukru, co powinno było uciszyć nieco grzmoty i przygasić błyskawice. Ofiara była daremna: błyskawice wdzierały się pod łóżko czerwone i jadowite, grzmot potrząsał całym domem pana Zysera. Gdyby się ludzie dowiedzieli, że to ja sprowadziłem na wszystkich ten strach burzy, dopierożbym dostał! Nagle huknęło bardzo głośno, więc ze strachu wyzbyłem się drugiego kawałka cukru. Zanosiło mi się na płacz, że pozostanę przy jednym. I ten jednak musiałem oddać, bo Bozia nie chciała wdać się w żadne układy. Gdy rodzice wrócili wieczorem z fabryki, sprawa kradzionego cukru jako przyczyna burzy stała się przedmiotem szczegółowego roztrząsania i przykładnej kary. Co była zacz ta Bozia? Jak będzierz duży, to się dowiesz. Ach, jakże pragnąłem już być duży!...."

I mały bohater z pod łóżka, co z Bozią walczył o trzy kawałki cukru, pewnego dnia był duży. Wprawdzie jeszcze nie wielki, ale już taki duży, że marzył o dyrektorskiej buławie. Narazie siedział w fabrycznym kantorze nad nudnymi rachunkami i ukradkiem z wypiekami na twarzy słuchał z wielkiem niedowierzaniem donżuańskich przechwałek „festlonowców". Dla młodego pisarczyka, który jeszcze niedawno biedził się w fabrycznej szkółce jak Champollion w Egipcie nad odcyfrowywaniem różnych „emełoteka" i „dezetikai" i za sprawą Ducha Św. nie zawsze szczęśliwie odgadywał sens tych zagadek, „życie było pełne

sekretów, które trzeba było poodsłaniać, poznać, poodzierać z dręczącej tajemnicy. Serce przenikała słodka radość na samą myśl, że kiedyś.... Co kiedyś? Trudno to było pomyśleć, sformułować, wysłowić, że kiedyś stanie się coś takiego, co przeniknie całą duszę z ciałem nieznanym rozkosznym dreszczem poznania". Tymczasem trzeba się było chociaż zewnętrznie upodobnić do „festlonowców" i chociaż raz uczciwie ostrzyc sobie włosy, a za pierwsze zarobione grosze kupić kołnierzyk i krawat. O miłosnych przeżyciach nie było mowy. Przecież były sprawy daleko ważniejsze i bardziej niepokojące np. co to jest grzech przeciwko Duchowi Św. i czy aby nie jest się już po wieczne czasy potępionym, jeśli się w przystępie złości zbiło małego Franusia. W Piśmie Św. wyraźnie pisze: cokolwiek uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, mnie-ście uczynili. A mały Franuś był z nich wszystkich najmniejszy....

Trudno było upilnować chłopca w kantorze. Zawsze-ci się gdzieś zawieruszył, że go dopytać nie było można. A on z otwartemi na oścież oczyma chodził po fabryce i miarkował jak to zmyślne machiny pracują. Wieczorem po pracy uczył się i czytał, co w rękę wpadło, a w niedziele i święta wymykał się w pole, do lasu i patrzył na cuda Boże.

Jako były robotnik lepiej może niż kto inny rozumiem wielki głód wiedzy młodego fabrycznego pisarczyka. Wiem, co to znaczy za ciężko zarobione grosze nieraz z ujmą dla żołądka kupować książki i po pracy w ciszy wieczoru czy nawet późnej nocy połykać ich treść. Zaznałem już nieziemskiej rozkoszy samouka. Ślęczysz od godziny nad stroniczką i wyrozumieć nie możesz o co chodzi. Bij choć głową w mur, albo w brzeg stołu — nic a nic nie rozumiesz. Aż ci tu naraz jak objawienie wszystko samo jasno się wykłada. Nadymasz się, jakgdybyś nową gwiazdę odkrył na nieboskłonie i wymyślasz sobie rzetelnie, żeś jej wcześniej nie spostrzegł. Albo cóż to za rozkosz samemu się przekonać, że dom po grecku naprawdę nazywa się ojkija i że nikt z ciebie nie kpił, kiedyś o to pytał, chociaż brzmiało to najwyraźniej jak naigrawanie z twojej niewiedzy: oj, kija! Zaprawdę, młody fabryczny pisarczyk, ślusarski „terminator", czy inny szewczyk musi umieć chcieć wiedzieć dużo, aby przy swym warsztacie ciężkiej fizycznej pracy zdać maturę jako ekstern-przybłęda, całą siłą pracy ruszyć na ocean wiedzy i nadrobić lata stracone.

Synowie „webrów", „rajgerów", „szpularek" i „repasjerek", ten cały legjon „ludzi bezdomnych", jak ich nazwał drugi nasz wielki współwyznawca Stefan Żeromski, z zapartym oddechem będą odczytywać w pamiętnikach p. Hulki-Laskowskiego swoje własne dzieje. Ale nietylko „ludzie bezdomni". Pamiętniki p. Hulki-Laskowskiego to nie są pamiętniki jakiegoś dr. Judyna, wyrzekającego na swą „bezdomność", ale to dzieje niezmordowanego polskiego pisarza, to kawał żywego serca, które ukochało swoje miasto i nad jego nieszczęściem boleje. Książkę p. Hulki-Laskowskiego musi przeczytać każdy człowiek myślący, któremu sprawy Żyrardowa czy to z punktu zainteresowań obywatelskich, czy nawet tylko folklorystycznych nie mogą być obce.

Pan Hulka-Laskowski daje w swej książce cały szereg cennych obrazków folklorystycznych, malujących dawne zwyczaje i tradycje sfer robotniczych małego przemysłowego miasteczka. Ciekawe są te różne weseliska, chrzciny, miłosne serenady pod oknami wybranek i „blaumontagi", z których fabrykanci z kijem w dłoni spędzali robotników do pracy. Sam nie jestem Żyrardowianinem. Żyrardów znam tylko z opowiadań i wspomnień rodziców. Ale przy czytaniu książki p. Hulki-Laskowskiego stanęły mi żywo w wyobraźni „niebieskie krzyże", dzikie krze, brzezinki, czarne bory, białe domy, blichy, a nawet zacni arendarze z Wiskitek, Warszawiak i Warszawski, którzy za marne grosze sprzedawali robotnikom żyrardowskim liczne półkwaterki zwykłej okowity, „zdrowego" apetycznego „alkoholu" i mocnej jak śmierć przepalanki.

Pan Hulka-Laskowski z urodzenia Żyrardowianin po dzień dzisiejszy mieszkający w „swoim" Żyrardowie, syn robotnika Zakładów żyrardowskich i sam były ich pracownik, dużo miejsca w swych pamiętnikach poświęca karygodnym sprawkom panów Boussaców, Koehlerów i ich doradców Waśkiewiczów. Pamiętniki p. Hulki-Laskowskiego miały się ukazać już przed dwoma laty, ale dobrze się stało, że ujrzały światło dzienne dopiero teraz. W odpowiedniejszym momencie nie mogły się one ukazać. Dziś sprawa Zakładów Żyrardowskich jest przedmiotem trosk i kłopotów państwowych sekwestratorów i sądów, oraz przedmiotem roztrząsań codziennej prasy. Na to robotnicy żyrardowscy oddawna czekali. Tym własnie szarym towarzyszom walk i porażek dedykuje p. Hulka-Laskowski swoje pamiętniki z wyrazem niezłomnej wiary w ostateczne zwycięstwo, do którego niewątpliwie w wielkim stopniu przyczynią się same pamiętniki i ich autor.

WIADOMOŚCI Z KOŚCIOŁA I O KOŚCIELE.

NIEMCY. — PLOTKA DZIENNIKARSKA O PRZEJŚCIU 600 PASTORÓW NA KATOLICYZM.

Z początkiem kwietnia r. b. prasa polska, francuska, niemiecka i i. przyniosła sensacyjną wiadomość, że ewangelicy w Niemczech masowo przechodzą na katolicyzm. „Kurjer Warszawski" w Nr. 93 z 6 kwietnia w telegramie z Rzymu pisał, że „w kołach watykańskich zainteresowano się napływającemi z Niemiec wiadomościami o silnym ruchu przechodzenia na łono Kościoła katolickiego wielu duchownych ewangelickich". W związku z tem „K. W." podaje, że przeszedł ostatnio na łono Kościoła wybitny pedagog prof. Thieme. Nawet P.A.T. dn. 11 kwietnia podała komunikat swego korespondenta wiedeńskiego z fragmentu listu prof. teologji Thiemego do papieża według „Wiener Zeitung", w którym prosi o przyjęcie grona ewangelików do Kościoła katolickiego. W czytelnika uderzył szczegół, że autor listu stwierdzając, iż nowy Kościół ewangelicki w Niemczech „pozostaje w nieprzejednanej sprzeczności z duchem Pana Naszego tudzież z tradycją niesfałszowanego luteranizmu", szuka opieki u papieża. Komunikat P.A.T.-a kończy się notatką, że stanowisko Thiemego podziela 600 pastorów ewangelickich. Każdy, kto choć pobieżnie orjentuje się w stosunkach wyznaniowych Rzeszy w przeszłości i w chwili obecnej, wie, że o masowej konwersji duchowych niema mowy Zdarzają się natomiast sporadyczne wypadki konwersji jednostek pośród duchownych ewangelickich i katolickich. Odzywają się także głosy romantyków religijnych, którzy marzą o „świętym Kościele powszechnym" i o połączeniu protestantyzmu z katolicyzmem. Głosy te jednakowoż są naogół bez echa. Ewangelickie Polskie Biuro Prasowe zwróciło się do kierownika „Zrzeszenia Prasy Ewangelickiej" w Niemczech tudzież do innych wybitnych przedstawicieli prasy ewangelickiej zagranicą i uzyskało szereg cennych informacyj. Przedewszystkiem błędna jest notatka o samym autorze listu. K. Thieme, profesor teologji w Lipsku zmarł w listopadzie 1932 r. Syn jego K. Thieme, b. profesor akademji pedagogicznej w Elblągu, w czasopiśmie, poświęconem myśli religijnej w numerze z 10 kwietnia ub. r. za ostateczną religijną decyzję ewangelików uznał powrót na łono Kościoła katolickiego, zaznaczając, że decyzja ta byłaby możliwa dopiero po odpowiedniej reformie Kościoła katolickiego, w którym „nam — pisze Thieme — Kościół ten nadal pozwoli być ewangelikami i Niemcami". W tym samym duchu napisany jest wspomniany list do papieża, w którym znajdujemy ważny szczegół o sympatykach poglądów Thiemego. „Jest nas niewielu" pisze autor. Wobec tego liczba 600 rzekomych kandydatów na konwertytów, jest fikcją. „Gazette de Lausanne" z 9 kwietnia ogranicza ich do 12, co jeszcze jest przesadzone. Paryski „Le Temps" z dnia 10.IV donosi swoim czytelnikom, że „w kołach Watykanu nic nie wiadomo, jakoby w Rzymie przebywało liczniejsze grono niemieckich teologów ewangelickich, aby rozpocząć rokowania w sprawie konwersji". Tak więc pewne koła katolickie, z niefortunnych wystąpień kilku duchownych ewangelickich, do których należy m. i. emer. pastor Lortzing w Getyndze, stworzyły „silny ruch przechodzenia na katolicyzm", posługując się metodą fikcji i wyolbrzymiania pojedyńczych wypadków. Oczywiście przemilczają te koła fakty przechodzenia wybitnych teologów katolickich na łono Kościoła ewangelickiego. Niewiele wskórają starania kardynała Schultego, który — jak donosi tygodnik „Der Reichsbote" z dnia 15 kwietnia—Thiememu i jego sympatykom przesłał błogosławieństwo papieża i wyznaczył komisję teologów do pertraktacyj z petentami. Tęsknota do Rzymu jest rzeczą tylko garstki.

Ew-Pol.

C H. — Uprzemysłowienie Afryki a Misje.

W roku 1930 Rada Misyjna powołała do życia w Genewie specjalny wydział dla badań socjalnych i gospodarczych. Wydział ten przed niedawnym czasem opublikował wyniki swej pierwszej pracy na dużą skalę, przeprowadzonej przy pomocy finansowej Fundacji Carnegie'go. Sprawozdanie komisji rzeczoznawców, która przeprowadzała badania pod przewodnictwem dyrektora Biura genewskiego p. Merle Davis, zostało opublikowane w książce p. t. „Współczesny przemysł, a ludność Afryki" (Modern Industry and the African), wydanej w Londynie.

Badaniu podlegało zagadnienie, jaki wpływ wywiera szybkie uprzemysłowienie Afryki na jej tubylców, a w związku z tem położenie i praca misyj. Chodzi tu w pierwszym rzędzie o niezwykle szybki rozwój, bogatych i świetnie wyposażonych w środki techniczne, olbrzymich kopalń miedzi, znajdujących się w północnej Rodezji i belgijskiem Kongo. Złoża miedzi w owych krajach są niesłychanie obfite i mogą pokryć zapotrzebowania światowe na przeciąg dziesiątek lat. Znaczne ilości robotników, rekrutujących się z ludności tubylczej, są ściągane z dalszych nawet okolic do pracy w kopalniach. Nic więc dziwnego, iż w związku z rozwojem tych kopalń wpływ ich sięga oż do odległych wiosek, skąd pochodzą robotnicy.

Dość często słyszymy, iż przenikanie cywilizacji europejskiej i przemysłu zmienia całkowicie oblicze życia afrykańskiego. Książka „Współczesny przemysł a ludność Afryki" wskazuje nam przejrzyście, jak ta przemiana się dokonywuje i jakie daje to rezultaty. Rozwój przemysłu i jego skutki został w niej oświetlony z punktu widzenia socjologji, ekonomji, religji, oraz z punktu widzenia zagadnień polityki kolonjalnej; przedewszystkiem jednak zajmuje się sprawozdanie rolą misyj w tych wielkich przemianach. W dalszym ciągu sprawozdanie wykazuje wyraźnie, jak bezmyślną jest opinja kół krytycznie względem pracy misyj ustosunkowanych, aby mieszkańców Afryki pozostawić samym sobie. Zarówno polityka gospodarcza państw zainteresowanych, jak i ich urzędy kolonjalne, nie pozostawiają ludności tubylczej własnym jej losom; to też zapewne nie wyszłoby jej na dobre, gdyby trzeci ważny czynnik, jakim są misje, został pozbawiony wpływu na kształtowanie jej życia. Zostało stwierdzone, iż uprzemysłowienie raptowne Afryki wpływa rewolucyjnie na jej ludność. W tych to warunkach praca misjonarza staje się jeszcze bardziej potrzebną, gdyż jest on jednocześnie głosicielem nowego życia, opartego na wierze w Jezusa Chrystusa, oraz przyjacielem, nauczycielem i doradcą w nowych warunkach życia.

Książka, o której jest mowa, wskazuje jasno czego należy żądać od pracowników misyj, aby podołali swemu poważnemu zadaniu w procesie wielkiej przemiany, jaką przeżywa Afryka. Misje nie mogą zaniechać swych moralnych obowiązków w stosunku do ludności tubylczej w chwili obecnej, przeciwnie muszą one stać się dla niej wewnętrznem oparciem w nowych warunkach jej życia. To też komisja rzeczoznawców daje konkretne wskazówki, jak się powinna obecnie kształtować praca misyj. Szczególnie silny nacisk jest położony na niezbędność jedności w pracy misyjnej, która najlepiej mogłaby się rozwijać, gdyby nastąpiło zjednoczenie wszystkich misyj w jeden związek, ponoszący całkowitą odpowiedzialność za działalność wśród robotników kopalń miedzi. W ten sposób możnabyłoby skupić wszystkie siły ewangelickie, unikając rozbicia, jakie ma miejsce wśród placówek, pracujących na wybrzeżu południowo - afrykańskiem, gdzie sto sekt w tej pracy ze sobą rywalizuje.

O ile wskazówki, podane w końcowym rozdziale tej niezwykle ciekawej i wyczerpującej książki, zostaną wprowadzone w życie, wówczas praca misyj na tak ważnym odcinku, jakim są kopalnie miedzi, potoczy się jednolicie i wzorowo, co będzie miało niemałe znaczenie nietylko dla Afryki, ale i dla pracy misyjnej na innych terenach. *Ew.-Pol.*

OFIARY.

Na wydawnictwo „JEDNOTY".

Oprócz prenumeraty wpłacili na wydawnictwo:

W-y p. Otton Borodzicz — Łuck Zł. 2.00

Serdeczne dzięki!

PORZĄDEK NABOŻEŃSTW

w Warszawskim Kościele Ewangelicko - Reformowanym na miesiąc maj 1934 r.
Nabożeństwa rozpoczynają się o godzinie 11.15 przed poł., o ile nie jest podana inna godzina.

1. Czwartek, dn. 3.V (Święto Narodowe), nabożeństwo o godzinie 9 rano . . Ks. płk. Senior K. Szefer.
2. Niedziela, dn. 6.V (V N. po Wielkanocy) . . . . . Ks. E. Jelinek.
3. Czwartek, dn. 10.V (Wnieb. Pańskie) . . . . . Ks. J. Jelen.
4. Niedziela, dn. 13.V (VI N. po Wielkanocy) z Komunją Ś-tą i bezpośredniem do niej przygotowaniem . . . . . Ks. St. Skierski.
5. Niedziela, dn. 20.V (I Święto Zesł. Ducha Ś-go) . . . . . Ks. J. Jelen.
6. Poniedziałek, dn. 21.V (II Święto Zesł. Ducha Ś-go) . . . . . Ks. St. Skierski.
6. Niedziela, dn. 27.V. (N. Trójcy Ś-ej) z Komunją Ś-tą i bezpośredniem do niej przygotowaniem . . . . . Ks. E. Jelinek.

CENY OGŁOSZEŃ: IV str. okładki — zł. 150; II str. — 100; III str. — zł. 75; ½ str. — zł. 75, 50, 35; ¼ str. — zł. 40, 30, 20, i ⅛ str. bez względu ua stronę — zł. 20.

STRONY ZWYKŁE cała strona — zł. 100, ½ str.— 50; ¼ str.— 30; ⅛— zł. 20. Przy ogłoszeniach kombinacyjnych i z kliszami do cen powyższych dolicza się 30%.

Drukarnia Wydawnicza. Warszawa, Kacza 15.